Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarn
H. W. Kallenbacha.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

17. Kwietnia 1856. **№ 46.** **Rok trzeci.**

Sejmik w lesie.

Wiele bardzo było rady i narady, zanim zadecydowano w mojej rodzinie co zrobić zemną?.. Wyrastałem już na młodzieńca, a więc myśleć trzeba było o karjerze przyszłej, jak mówiła matka moja. A decyzja ta nie tak łatwo nastąpiła, bo rodziny więcej miałem niż majątku, a głosów radzących więcej daleko niż środków finansowych.

Prócz dziadka, ojca i matki, nie licząc pół tuzina braci i sióstr, miałem wujaszków i stryjaszków, wujanek i ciotek co nie miara. W naszej wiosce, jak zwykliśmy ją byli nazywać, chociaż z niej na nas półczwarta podobno chłopa wypadało, było takichże samych dziedziców ze sześciu, a wszyscy byli krewni sobie, wszyscy równi, wszyscy szlachta z dziada pradziada, każdy był Jelita, bo i wieś zwała się Jelitowce. Najważniejszym był dwór Zagrobelski tak nazwany, bo leżał za groblą długą i przepaścistą, a sławną z tych dziur, które to wedle przysłowia niepotrzebne w grobli, ale są konieczna zda się właściwością naszych polskich grobel. Grobla w Jelitowcach, była z tego powodu wzorową doskonałością, znaną i przeklinaną w całej okolicy. Ale już to inaczej być nie mogło, bo współdziedzice dla tego zda się do swoich obwiązków, naprawienia grobli, nie poczuwali się, ażeby mieć zawsze powód do sąsiedzkich utyskiwań, kłótni, a więc i do zgód, sowicie oblewanych.

Owoż dziedzice zagrobelskiego w Jelitowcach dworu mieli największą część wsi, bo sami na siebie szesnaście posiadali chałup, i w naszej wsi uchodzili za bogaczów, i między bracią szlachtą stanowili niejako arystokracją pomiędzy Jelitami. Było ich zaś naówczas aż czterech rodzonych braci, którzy razem mieszkali, i majątkiem nigdy dzielić się nie chcieli. Nigdy nie zapomnę jak mi matka powiedziała:

— Jasiu! pójdziesz do dworu zagrobelskiego. Pokłoń się tam panom braciom a swoim wujaszkom dobrodziejom, i powiedz, że ja tam za godzinę najdalej sama przyjdę.

— I zaraz wracać mam, zapytałem.

— Straszny truteń z ciebie, mój Jasiu! Poczekasz tam na mnie. Wszakże to o ciebie idzie, aby już raz coś uradzić o twojej karjerze, bo twój ojciec pono nigdy się na nic nie zdecyduje. O, już to twój ojciec...

Tu westchnęła potężnie i urwała. Taki to już był obyczaj w Jelitowcach, że wszystkie żony utyskiwały zawsze na mężów, a mężowie choć dzielne Jelity, pod pantoflem siedzieli. I dla tego panowie bracia matki mojej we dworze zagrobelskim, nigdy żenić się nie chcieli.

— Nie głupim! powtarzali zawsze wszyscy czterej. Zwali się zaś Marek, Tadeusz, Stanisław i Wojciech.

Skoczyłem co prędzej do panów wujaszków, których bardzo kochałem. Świeć im boże! bo już nie żyją, ale były to poczciwe z kościami dusze, chociaż nudne oryginały, każdy w swoim rodzaju. Kochali się między sobą najserdeczniej, ale nie było dnia, ba i godziny prawie, żeby się nie kłócili między sobą o lada najmniejszą rzecz. Każdy się zapatrywał na świat z innego, a najczęściej z krzywego stanowiska, i każdy był uparty, jak przystało na szlachcica i Jelitę do tego.

Kiedym przybiegł zasapany, zastałem panów wujów wszystkich razem w zielonym pokoju, który się tak nazywał od wieków, choć ściany były bielone. Dodam jeszcze do opisu panów wujów, że trzech starszych miało silną, atletyczną prawie budowę ciała, gdy tym czasem najmłodszy był mały, chudy, i o tyle blady, o ile starsi mieli twarze czerstwe i rumiane.

— Wpadłeś wasan jak bomba!.. zawołał pan Marek, który siedział przed zielonym stolikiem, jedyną zielonością zielonego pokoju i ciągnął pasjansa.

— Zapomniałem liczbę kart, dodał nieukontentowany, muszę na nowo zacząć.

Pocałowałem go pokornie w rękę, na co się skrzywił pan Marek, by mu się szyk pasjansowy nie zepsuł. Poczciwy pan Marek, tego podobno najwięcej kochałem, bo cudowne on rozpowiadał rzeczy o swojej przeszłości, które rozbudzały młodzieńczy umysł do marzeń cudnej treści. Nie dzisiejszą on przeżył przeszłość!.. przeszłość co była odłamem wielkiej i niepowrotnej już epoki. Po pasjansie lubił najwięcej rozpowiadać! Pasjans zaś to był jedyny grzech jego poczciwego żywota, jedyną jego rozrywką, i właściwie rzec by można, uosobieniem charakteru pana Marka, który w nim zatopiony, przechodził co dzień te same kombinacje, jak się codzień jednemi żywił przypomnieniami, patrząc obojętnie na karle dla niego koleje teraźniejszości. Bo ten pasjans wiecznie powtarzany, zwał się napoleońskim.

A ta nazwa miała dla pana Marka czar niesłychany. Pod zaklęciem tej nazwy zaczarowane w nim spoczywały wszystkie jego myśli, uczucia i pamiątki. On całem sercem swojem żył w epoce napoleońskiej której był czynnym świadkiem, jako jeden z owych licznych synów ziemi naszej, którzy za złotą nadzieją poszli i gonili za nią po piaszczystych Egiptu puszczach, po zwrotnikowych płaszczyznach, po wszystkich szlakach całego świata, od Lizbony aż do Moskwy. Gwiazda Napoleona była im tą nadzieją przewodniczącą; a gdy ta zgasła, zgasła i nadzieja wszelka w ich ser-

cach. W Panu Marku jak w drugich życie całe stanęło po Waterloo.

Późniejsze zdarzenia zbywał pasjansem, do którego kombinacyi dobrych czy złych, przywiązane były ostatki jego wszystkich jeżeli miał jeszcze jakie, najtajemniejszych chęci, marzeń i nadziei.

W pasjsanie szukał on czas jakiś śłej Heleny; w pasjansie ścigał koleje króla rzymskiego; a potem!.. czegoż miał sznkać dalej w ulubionym pasjansie,? szukał zapomnienia, i chciał czas zabić, tak nudnie wlekący się, który mu tak ciężył na starej bliznami zoranej piersi, że się ta tylko westchnieniem bronić mogła.

— Czy ja ksiądz *cré nom*, żebyś mnie w łapy całował? zamruknął zły, bo mu pasjans niedopisywał.

— Z czemże przychodzisz aspan? zapytał mnie pan Tadeusz, który stał przed zwierciadłem, i zaczesywał zwyczajem swoim, po raz dziesiąty zapewne, swoje bakenbarty i łysiejącą czupryne. Dobrze pan brat Marek powiedział, że wleciałeś jak bomba! dodał usuwając rękę, którą chciałem z kolei pocałować. Ale co się dziwić, brakuje mu wyższej, światowej politury.

— Politury! powtórzył pan Marek z drwiącym przyciskiem, i zaczął pogwizdywać marsza.

— Pan brat Marek drwi sobie jak zawsze. Ja zaś zawsze powtarzam swoje, że tylko politura coś znaczy, i przez nią można znaleść sobie drogę i znaczenie niejakie. Pa!.. Tu wydął usta i spojrzał rad z siebie w zwierciadło. Pan Marek nic na to nie odpowiedział, jeno przeszedł w takt przyspieszonego marsza.

Jak pasjans u pana Marka, tak politura światowa była uosobieniem charakteru, zdań i myśli pana Tadeusza, który czas jakiś bawił przy jednym wielkim dworze.

Pan Stanisław chodził zamyślony po pokoju krokiem nierównym i coraz więcej przyspieszonym. Snać nie uważał na mnie, gdy wszedłem goniąc za własnemi marzeniami, bo gdym z kolei chciał go w rękę pocałować, spojrzał na mnie z wyrazem zadziwienia.

— To ty Jasiu?.. przemówił do mnie i zmierzył mnie oczyma od stóp do głowy. Rośnie chłopiec jak na drożdżach. Do stu kartaczy, niezły byłby już z ciebie ułan!... A kto wie! kto wie!.. dodał z mocnym wyrazem, westchnął i wypatrzył się przed siebie, jakby tam daleko przed sobą widział już ziszczone marzenie swoje.

Jak pasjans Napoleoński dla pana Marka, politura światowa dla pana Tadeusza, tak *ułan* był wszystkiem, alfą i omegą marzeń, myśli i nadziei dla pana Stanisława.

— Do stu kartaczów!.. mruknął pan Marek tasując karty, i znowu pogwizdywać począł z drwiącym przyciskiem...

— Pan brat pozwoli, że nie wszystkie kartacze wystrzelano dla pana brata. Zostało ich dla nas dosyć. Drwić nie sztuka!.. I nie biliśmy się za tyrana, ale za wielkie ideje, i przyszłość bliska pokaże jeszcze....

— Wielkie ideje! przyszłość... fiu! fiu! zagadnął znowu pan Marek. Wielkie słowa, wielkie nic... Napoleona wam brakowało. Hej, hej!.. I zagwizdnał żałobnego marsza.

— Przyjdzie i on w swój czas, odrzekł pan Stanisław, i łysnął błękitnem okiem, z którego strzelało natchnienie i zapał. Ale nie z berłem i koroną, ale z piką ułańską i z wielką ideą...

— O marzyciele, niepoprawni marzyciele!... mruknął smutno pan Marek i jeszcze smutniej westchnął.

Zbliżyłem się z kolei do pana Wojciecha, który przez cały czas stał przy oknie, tyłem do mówiących obrócony, i patrzał się przez nie z wielką uwagą na bydło, które właśnie od wody wracało przez dziedzieniec.

— Jak się masz Jasiu! przemówił do mnie, i pogłaskał po czole. Spociłeś się biedaku!.. każę ci dać zaraz wody z sokiem. A żeby cię choroba! krzyknął nagle wyglądając przez okno!.. Czarnocha kuleje, to pewno ten mudio pastuch jej co zrobił, dam ja mu!..

— Krzyczy, jak by coś bardzo ważnego!.. krowa zakulała! mruknął pan Marek..

— Co wieśniak to mudio, i zaraz dawać mu batogi! i to ma być dobrze!.. i ci ludzie nie widzą dalej po za koniec własnego nosa, zawołał pan Stanisław z emfazą.

A pan Tadeusz obcinał paznokcie z wielką uwagą.

— Oj to gospodarstwo!... przemówił wyginając się maniernie do zwierciadła. Dobrze mówiła pani starościna, że niema nic obrzydliwszego jak gospodarstwo.

— Ta zapewne! ozwał się pan Wojciech z pokorą; ale daje przecie jakie takie utrzymanie. Ale dalibóg, kuleje!. dodał energiczniej i wybiegł na dziedziniec, ale i o mnie nie zapomniał, bo wkrótce wrócił z butelką soku w ręku.

Gospodarstwo było treścią życia i charakteru pana Wojciecha. Pracowity gospodarz i praktyczny, cierpliwie i potulnie słuchał starszych panów braci, dla których był z pewnem uszanowaniem, ale swoje robił przeto, i gospodarował najzawzięciej. Podczas gdy bracia bąki strzelali i próżnowali, i każdy gonił za swoim niebieskim migdałem, pan Wojciech za nich wszystkich pracował, i dom cały utrzymywał cudem prawie, na stopie bardzo porządnej.

Gdym tedy panom wujom wytłumaczył się z przyjścia swego, i oświadczył że zaraz matka przyjdzie sama.

— Więc aspan jesteś heroldem!..

— Ambasadorem!... przemówili wesoło pan Marek i pan Tadeusz.

— Szkoda, ozwał się pan Stanisław. Byłbym cię chłopcze wsadził na konia. Przy matce niemożna, bo by gwałtu narobiła.

Jeden pan Wojciech nic nie powiedział, ale praktyczny jak zawsze, zaczął się krzątać około podwieczorka. Gdy wreszcie przyszła matka moja, każdy z braci przyjął ją po swojemu. Pan Marek przywitał kordialnie, a nawet uchylił trochę furażerki, przepraszając najmocniej że musi w niej siedzieć.

— Ale bo to uważasz aśćka, ten przeklęty romatyzm.

Pan Tadeusz wybiegł do sieni i ceremonialnie wprowadził do pokoju. Pan Stanisław uścisnął serdecznie i głośno pocałował; a pan Wojciech ulokowawszy ją najwygodniej na kanapie, wybiegł za podwieczorkiem, który też wkrótce pojawił się w postaci kapitalnej kawy, doskonałej śmietanki i wybornych sucharków. C. d. n.

Pielgrzymka Czajlda Harolda,

poema lorda Bajrona, spolszczone

przez Wiktora z Baworowa.

Ciąg dalszy.

A gdy słońce w ocean już do snu się chyli,
Zadumany wziął do rąk lutnię, której jęki
Wtórowały niekiedy westchnieniom piosenki,
Nuconej w tęsknej i samotnej chwili.
Gdy żywiej w lot nadwodny pomknął żagiel biały,
Chyżej palce śpiewaka po strunach biegały;
A gdy już oddech wieczoru przewiewał,
Po dziennym skwarze odetchnął świat cały,
I wybrzeża w tył szybko z oczu uleciały,
Harold tak na «dobranoc» żywiołom zaśpiewał:

I. [1]

Bywaj mi zdrowy kraju ojczysty!
Już w mglistej nikniesz powłoce,
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce.
Dalej za słońcem gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany!
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrow kraju ojczysty!

II.

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi,
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nieobaczę mej ziemi.
Zamek na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje:
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

III.

Pójdź tu mój paziu [2]! paziu mój mały,
Co znaczą te łzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szały,
Czy morskie lękają fale?....
Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę,
Lotny nasz sokół nie tak wesoło,
Jak my polecim przez wodę.

IV.

— Niech fala szumi, niech wicher głuszy!
Niedbam pogoda czy słota,
Te łzy wyciska z głębi mej duszy
Nie bojaźń ale tęsknota.
Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka zostanie droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie, panie,
Prócz ciebie tylko — i Boga.

V.

Ojciec spokojnie mię błogosławił,
Nie płacze, ani narzeka.
Lecz matka którąm we łzach zostawił,
Z jaką tęsknotą nas czeka?
— Dość, dość mój paziu! te łzy dziecinne
Źrenicy twojej przystoją,
Gdybym miał równie serce niewinne,
Widziałbyś we łzach i moją.

VI.

„Pójdź tu mój giermku! giermku mój młody,
Skąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanej lękasz się wody,
Czyli francuskich korsarzy?
— O nię, Haroldzie, niedbam o życie,
Niedbam o losów igrzyska,
Alem zostawił żonę i dziecię,
To mi łzy gorzkie wyciska.

VII.

«Żona na końcu twojego sioła
W zielonej mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię z płaczem ojca zawoła,
Cóż mu nieszczęsna odpowie?»
— Dość, dość mój giermku! słuszna twa żałość,
Ja choć jej ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość,
Śmiejąc się puszczam się w drogę.

VIII.

Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy,
Bo nim zabłyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy,
Nowy mąż, nowy kochanek.
Nieżal mi ziemi gdziem młodość strawił,
Niestraszne podróże wodne,
Żałuję tylko, żem niezostawił,
Nic, coby było łez godne.

XI.

Teraz po świecie błądzę szerokim,
I pędzę życie tułacze,
Czegoż mam płakać? za kim i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze....
Pies chyba tylko zawyje z rana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego, dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

X.

Już okręt piersią kraje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął;
Niedbam ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął,
Gdy mię twe jasne znudzą krzyształy,
Ogromna, modra płaszczyzno,
Powitam lasy, pustynie, skały,
Bywaj mi zdrowa, ojczyzno!

Leci skrzydlaty statek, niewidać wybrzeża,
A nie śpią wzdęte fale w zatoce biskajskiej.
Po pięciu dniach żeglugi, szybko rudel zmierza
Ku czarodziejskim lądom, ku krainie rajskiej.

*

---

[1]) Wcieliłem do mojej pracy, znany cudzy przykład następujących 10ciu zwrotek. Ośmieliłem się jednak dla większej wierności, nie bacząc na względy rymotwórcze, kilka wyrazów zmienić. (*Przyt. Tłum.*)

[2]) Ten młody paź zwał się Robert Rushton, i był synem jednego z dzierzawców L. Bajrona. „Biorę Roberta z sobą;" piszę „poeta do matki, lubię go, ponieważ on, równie jak i ja, zdaje się „być zwierzęciem, opuszczonem i bez przyjaciół."—Widząc jednak w ciągu podróży iż ten chłopak był nader zasmucony rozłączeniem się z rodzicami, odesłał go Bajron zaraz po przyjeździe do Gibraltaru, pod opieką starego sługi Murraya, napowrót do Anglii. Posłał zarazem list do ojca tegoż Roberta; ten list jest dowodem jego względów i życzliwości. Oto jest wyciąg z niego: „Odesłałem Roberta do Anglii, ponieważ podróż którą przedsiębiorę, nie jest dość bezpieczną dla dziecka w jego wieku. Opuszczam WPanu 25 funt. szterl. z opłaty dzierzawnej na jego wychowanie. (*Przyp. tłum.*)

Tu *Cyntra* opoczysta pod obłoki pnie się,
Tam *Tag* oceanowi w dani złoto niesie,
Już luzytański sternik między kwitnącemi
Brzegami, ster zawraca ku tej błogiej ziemi,
Gdzie ledwo garstka włościan po łanach, leniwo,
Kończy niedbałe a obfite żniwo.

O Chryste! serce radością zapłynie,
Gdy oko ujrzy, ile w tej krainie
Nagromadzonych cudów, jak tam plenne drzewa,
Jak rozległe widoki, jaka woń powiewa!
Ale człowiek bezbożnie niszczy wdzięk przyrody:
Zaprawdę, jeśli pan Bóg raz przyjdzie widomie,
Ukarać krnąbrne plemię, co na krwawe gody,
Grzeszy, zuchwałe w swoich win ogromie,
To galicką szarańczę, co wiarą i sromem
Pomiata i pogardza, powystrzela gromem.

Oto nas wita stołeczna Lizbona,
Jakże na pozór wdzięczne jej powaby!
Sama, wspaniałej rzeki nurtem osrebrzona,
Wierny jej obraz wygląda z wód łona,
Po którem się krzyżują tysiącznych naw sztaby,
Odkąd jej służy potężna obrona,
Odkąd sprzymierzonego dzielność Brytańczyka
Wspiera ród luzytański, niewdzięczny i tępy,
Co liże a chce kąsać rękę sojusznika,
Odpierającą galickie zastępy.

Lecz jeśli niecierpliwy wszedłeś aż w głąb miasta,
Które zdala niebiańskim zdaje się być grodem,
Zdumienie twoje bynajmniej nie wzrasta,
Oddając hołd przyrodzie, brzydzisz się narodem. [1])
I pałace i chatki brudno wyglądają,
Ujrzysz się sprosną otoczonym zgrają.
Choćby ten naród szpetny, gnusnością spleśniały,
Jęczał pod plag egipskich karzącym uciskiem,
Nie stara się przecież pozbyć swej zakały;
Zdrój wody byłby zbytkiem, grzebień dziwowiskiem.

Nędzne to niewolniki, chociaż rodem z raju!
Czemuż dla takich ludzi marnujesz twe dziwy,
Przyrodo? Oto Cyntra wznosi swój szczyt siwy,
Jej podnoże uwieńcza splot z kwiecia i maju;
Czyjaż dłoń pióra lub pędzla dotrzyma,
Któż tu nie oniemieje, mając przed oczyma,
Widoki, jakie tylko odtwarzał wieszcz, który
Uniesiony natchnieniem pod niebios lazury,
Śmiertelne zmysły ćmił przez czary swoje,
Odmykał światu *Elizyi* podwoje.

Niebotyczne skał grzbiety, a na nich klasztory,
Migdałów, drzewa korkowego bory,
Ubogi mech alpejski, skwarem ogorzały,
Zielony gaik, w pomarańczach cały,
Mgliste padoły, co za słońcem płaczą,
Potoki które hucząc po przepaściach skaczą,
Do snu ukołysane morskich fal błękity,
Winogrona po górach, klomby wierzb u dołu,
Barwy, cień, światło, — to wszystko pospołu
Z romaitych scen tworzy obraz jednolity.

Spiesz, kędy kutą ścieżką wiedzie cię opoka,
Zatrzymaj się niekiedy w pochodzie, z wysoka
Porozsiewane widzieć u twych nóg piękności:
Klasztor *Matki bolesnej* pielgrzyma ugości,
Pobożny pątnik w błogiem podniesieniu ducha
Widzi świętych ostatki, dziwnych podań słucha,
Ujrzy miejsce, gdzie karę odbierał niecnota;
Opodal stoi Honoriusza grota,
Męża, który dobrami gardząc doczesnemi,
Pragnął wstąpić do niebe, po katuszach ziemi.

Zaszedłszy w góry, skacząc ze skały na skałę,
Krzyże po drodze spotkasz spróchniałe; [1])
To nie pomniki pobożnego serca,
Tu rozbój spełnił ukryty morderca,
Tu się odbyła okropna rozprawa,
Bezbronny pielgrzym skonał w bezsilnych zapasach!
Kędy swoję ofiarę zostawia dłoń krwawa,
Tam zawsze z czułej dłoni wzniesiony krzyż stawa;
Pełno ich po dolinach, po górach, po lasach,
W kraju, gdzie życie nie jest pod opieką prawa.

W tym zamierzchłym Edenie, w dolinach, na górze,
Są ślady, że tam niegdyś królowie mieszkali;
Lecz królewska siedziba dzisiaj się już wali,
Tylko kwiat polny płoni się na murze.
Owdzie wspaniale stał pałac książęcy,
Lecz gmach ten z gruzów nie dźwignie się więcej.
I ty, najzamożniejszy synu Albionu,
Wateku [2]), tu mieszkając, zapomniałeś o tem,
Że w przybytkach przepychu, od stóp jego tronu,
Spokój nieścigłym oddala się lotem.

Tu przebywałeś, tuś krasił przyrodę,
Zawsze zarówno czuły na świeżą ponętę,
Ale to miejsce jakoby wyklęte,
Dziś jak ty utraciło swoje wdzięki młode,
Twe komnaty bezludne, bramy odemknięte,
Olbrzymiego łopuchu las je przyobleka;
Świeża to jest nauka dla pychy człowieka,
Że od nas szybko zdrój życia ucieka,
Że nieszczęściem wezbrany, spustoszeniem wzdęty,
Wspaniałe gmachy uciech druzgoce na szczęty.

Owdzie dom stoi, gdzie — bez wielkiej chwały—
Niegdyś rozumne łby obradowały;
Smutny to widok brytańskiemu oku!
Czarcik w czapce błazeńskiej zamiast diademu,
W pargaminowej szacie, tu niegdyś radnemu
Przewodniczył zebraniu; przy jego to boku

---

[1]) Skreśliłem Portugalczyków tak jakiemi ich widziałem: wątpić nie można, iż od tej pory uczynili postępy, przynajmniej co do męstwa.

[1]) Wiadomo że w r. 1809 popełniane przez Portugalczyków morderstwo w Lizbonie i jej okolicach, nie ograniczały się na ich własnych ziomkach; lecz że i Anglików co dzień bezkarnie zabijano.

[2]) Osoba z romansu pod nazwą: Kalif Watek.

Leżą pieczęcie i zwoje papierów,
O! jestto licho, podszyte zuchwalcem;
Czytając na podpisach miana bohaterów,
Uśmiecha się i krzywym wytyka je palcem.

Ten brzydki karzeł *konwencją* [1]) się zowie.
On to was w pole wywiódł narodu wodzowie!
Pomieszał wam rozumy — jeśliście je mieli,
Obudził na nas śmiech nieprzyjacieli.
Tu rzetelną zasługę głupstwo zwyciężyło,
Tu polityka, biorąc przewagę nad siłą,
Zdeptała świeże, zielone wawrzyny.
Przebóg! nie zwyciężonym, lecz zwycięzcy biada,
Odkąd cześć jego więdnie przez niesławne czyny,
I rozkwitłej nadziei bujny plon przepada.

Od tej pamiętnej, tej nieszczęsnej doby,
Brytanja nosi cerę wstydu i żałoby.
Oblicze mężów stanu po owym soborze
Zrumienione — jeżeli rumienić się może.
Ach, cóż powie potomność na tę hańbę naszą!
Wrogi, które zgromione u nóg nam się łaszą,
Niedobitki na wojnie, lecz w spokoju pany,
Chełpią się chytrą wygraną i zyskiem,
Jak gdyby naszą wolność kuli już w kajdany;
My potomnemu światu będziem pośmiewiskiem!

Tak dumał Harold, i spiesznemi kroki
Szedł znużony pod górę, cudnemi widoki
Otoczony, lecz tęskny, tęskny i pierzchliwy
Jak skowrónek, lecący szybko pod obłoki;
Wprawdzie lubił niekiedy, skruszony i tkliwy,
Myśli odmładzać w błogich ideałach,
Błąkać się — mimochodem — w niewczesnych morałach,
Kląć swą młodość straconą w dzikich, zmiennych szałach,
Schnącą i grzybiejącą postać, bez światła i ciepła,
Lecz wpatrując się w prawdę, źrenica mu ślepła.

Na koń! na koń! — już dalej w odległy świat leci,
Opuszcza cichą ustroń, z wiru myśli sprzecznych
Ucieka, szuka burzliwej zamieci.
Ale nie szuka więcej rozkoszy wszetecznych,
Spokojem gardzi i żąda odmiany;
W świat leci: dróg rozstajnych nieznane mu cele,
A obok niego przepłynie scen wiele,
Wiele chwil minie, aż trudem znękany
I zmordowany nowości pragnieniem,
Ból serca uspokoi, mądry doświadczeniem.

Po drodze *Mafra* [2]) sąsiednia zatrzyma
Na krótką chwilę naszego pielgrzyma:
Tu niegdyś luzytańska królowa mieszkała;
Cześć jej królewskiej mości i wraz boża chwała;
Zamtuz i kościół szły tutaj w zawody,
Pospołu odprawiano mszą świętą i gody.
Choć tutaj krew niewinną przelewała ręka
Niewiasty, panującej zbrodniczym uciechom,
Dotychczas przecię śmiertelnik uklęka
Przed pychą, przydającą piękny pokost grzechom. (C. d. n.)

---

[1]) Konwencyja o której mowa, zawarta została między Anglią i Francją w pałacu Margrabiego Marialwy.

[2]) Rozległość Mafry jest bardzo znaczna. To miasto zawiera w sobie pałac, klasztor i kościół przepyszny. Mafrę nazywają Eskurialem Portugalii.

Pisarze dzisiejsi.

I.
Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Na przykład pzzytaczamy tutaj Odę Sarbiewskiego aby dać czytelnikom wyobrażenie o piękności i sile tej polsko-łacińskiej poezji. Pobyt w Rzymie i szlachetne dążenie Urbana VIII. wpłynęły na poezje Sarbiewskiego. Był to czas, w których cały świat chrześciański myślał o wyjarzmieniu Grecji. Myśl ta wybija się jasno w poezji Sarbiewskiego. Jakże się wywiązał poeta z tego przedmiotu? «Po mistrzowsku, odpowiada Syrokomla, ówdzie przypomina świetność historyczną starej Hellady, tam trafia do uczuć chrześciańskiej Europy, tam stara się rozbudzić dzielność Polaków, spłoszyć sen gnuśny z oczu monarchów Europy, nawet do chciwości pospolitych żołdaków umie trafnie zakołatać. Przeminął już wiek Krucyat, po gabinetach Europejskich zjawiła się idea równowagi politycznej, nikt nie uderzył na Turka, tylko Polacy pod Chocimem odpędzili jego napaść!...

Walcząc tym sposobem w szrankach chrześciaństwa a opierając się we wszystkiem na uczuciu patrjotycznem, wyrobił Sarbiewski w sobie obok rycerskiego ducha uczucie wzniosłej pobożności, a wróciwszy z Włoch do kraju rodzinnego, zasępia się jego dusza, że nie widzi owej dawnej wiary ojców, która ich do wielkich czynów zagrzewała. Zbawienia kraju nie upatruje w sypaniu szańcow i wałów, ale w czystości serca i w opiece chrześciańskiego kościoła.

Posłuchajmy go:

Na skale karpackiej rznę słowa,
Niechaj je czytają potomni,
Dziewica niech w pieśniach je wspomni,
A dziecię w pamięci zachowa.

Polacy, nic z naszych mozołów
Że zamki murujem tak skrzętnie,
Gdy boża świątynia mchem kwitnie,
I zielsko na dachu kościołów.

Na próżno armatnie moździerze,
Wydają swój łoskot tak dzielny,
Gdy dzwonek oniemiał kościelny,
I znikły pobożne pacierze.

Gdy służby rozdzielne są boże,
Gdy serce nie w jedno kołata,
Gdy naród się w jedno nie zbrata,
Nie wiele mu wszystko pomoże.
. . . .

Dymią się u Czechów ołtarze,
A ziemia węgierska tak bliska,
Patrząjąc na swoje zwaliska,
Łzy leje — bo pan bóg ją karze!
. . . .

Nie łacno, nie łacno te strony
Turecсy zdobyliby męże,
Lecz gdzież tu święcone oręże,
Gdzież umysł ku bogu wzniesiony?

Poeta mówi dalej o murach i wałach, które sypano przeciw wrogom, ale to kraju zbawić nie może. Wskazuje na Węgry, na krew i pożogę. Jakaż na to rada? Oto królowa polska, święta dziewica może tylko nad krajem swoje ochronne roztoczyć skrzydła. Więc wzywa ją poeta:

Dziewico, kraj Lachów do ciebie,
Na klęczkach modli się w pokorze,
W poranku i ciemnym wieczorze,
Czy słońce południa na niebie.

My dla cię w doświtki grudniowe,
Po siedem kagańców zapalim,
I czystą cię pieśnią wychwalim,
I damyć koronę na głowę!...

Ileż to wzniosłości i siły, a jaka przytem prostota! Sarbiewski może być różnostronnym, podsłuchajmy go w rozmowie z przyrodą. Zakonnik-poeta rozkoszuje w jej wdziękach, a naśladując Hoaacego „*beatus ille qui procul negotiis*»! wzbija się wyżej uczuciem religijnem. Zakonnik nie orze, nie sieje, ale

....Kiedy stanie w porannym zakresie,
Promienną głowę do wschodu podniesie,
To na modlitwie myślami i słowy,
Stara się gniewy przejednać Jehowy.

Lub gdy poranek kwietnianej niedzieli,
Świątecznym blaskiem na ziemię wystrzeli,
Jego źrenice to w niebo się wznoszą,
To rozpatrują po niebie z roskoszą.

Patrzy na lasy, na pola i wody,
I widzy twórcę w obliczach przyrody,
«Ach, mówi w sobie, oto trawka licha,
Zna z czyjej łaski żyje i oddycha,
Każda się modli i drobnemi łezki,
Daje ofiarę mądrości niebieskiej,
Biały liguster i kraśny kwiat róży,
Uchyla główkę i niebiosom służy,
Lilja blada kłoniąc się ku ziemi,
Szepcze modlitwę ustami śnieżnemi,
Wieczór wzdychają i kwiaty i drzewa,
A z rana rosa łzami je oblewa,
A jaż sam jeden w niedołęstwie starem,
Będę się zginać pod lekkim ciężarem?»
Gdy tak myślami pobożnemi bada
Jak drzewo szumi, jak bije kaskada,
Święta myśl jego, jako perła droga,
Na pięknej ścieszce uleci do boga.

Jakiż to piękny obrazek daje nam poeta! Jak uczuciowym jest on w zapatrywaniu się na przyrodę, jakby żył śród epoki sentymentalnej naszej literatury.

W *odzie do Najświętszej Panny*, występuje Sarbiewski prawdziwym mistrzem formy.

Gdy bez dzieciny oglądam cię panno,
Dziwię się twojej urodzie,
Zda mi się widzę jutrzenkę zaranną
W różowych falach na wschodzie.

Gdy zasię widzę matkę i pachole:
To księżyc w północnych cieniach,
Co złotolity blask na swojem czole,
Bierze w słonecznych promieniach.

Gdy zaś twe dziecię o matko i pani,
Tulisz rękami do łona,
Jasnaś jak słońce, co niebom hetmani
W pośrodku gwiazd miljona!

Podziwiać należy ten mistrzowski układ obrazu, to stopniowanie myśli i barwy, i tę całość architektoniczną. Zaiste, takiej wyrobionej formy niepowstydziliby się i Beranger i Hejne.

Kończąc nasz ustęp o «Przekładach poetów polsko-łacińskich» przytaczamy jeszcze kilka wierszy z ody Mikołaja Smoguleckiego, na cześć zwycięstwa Zygmunta.

Do broni, do broni, rycerstwo do broni!
Las ostrzów stalowych jeży się na błoni,
Połyska żelazo, nim z wrogiem się zetrze,
I kity hełmowe igrają na wietrze,
Strach obcym zastępom, a trąba miedziana
Rozdziera powietrze i hasło swe szerzy,
I dobra otucha i siła nieznana
Kołata do serca bojowych szermierzy.
Rycerstwo do szyku! Z daleka już baczę,
Jak wielki bojowy proporzec rozpięty,
I Osman odważne zastępy kozacze,
Trackiemi zdradami chce skruszyć na szczęty,
Pobożna waleczność niech błyśnie wam z czoła,
Niech dusze szlachetne do cudu powoła,
Niech pomstą ojczystą umocni się ramię,
I hufce bezbożnych przełamie!...

Poeta woła dalej do szyku rycerzy sarmackich, aby czuwali bo noc już zapada.

...A w nocy dla zdrajców ratunek ostatni,
W obozie tureckim lękliwość i zdrada,
Gotują wam pasmo podstępów i matni;
Zdradnemi siłami zasnuli was wszędzie,
A słońce poranne ich świadkiem nie będzie,
Lecz walka, gdy przyjdą siepacze ohydni,
I gwiazda północna rozwidni.

Rycerstwo rwie się do boju i do harców pospiesza. Garstka Sarmatów uderza na tłumy i je miesza, poeta widząc zaciekłość Turków śpiewa dalej:

...Źle wróży wasz sztandar, choć hardo tak pływa
Broń wasza lękliwa, odwaga kłamliwa,
Nie krew bohaterska, lecz jeno wam znana,
Zawziętość szalona i pjana.

Wreszcie pierzchają mgły nocne, a Tatarzy muszą otwarcie wystąpić do boju. Już nie uchodzą wykręty podstępów i zdrady, bo

...Od jasnych promieni jutrzenki iskrzatej
Kir czarnej północy już drze się na szmaty,
Nie zbawi was księżyc, nie świeci on we dnie,
Patrzajcie! płonieje i blednie.

Turkowie idą w rozsypkę, a poeta wieńcząc laurem Zygmunta i zwycięzcę Władysława, nie zapomina o walecznem rycerstwie, któremu także wieniec się należy.

...Zwycięztwo pod stopę uściela się wasze,
I skromnie Etwańtskim wawrzynem przepasze,
Hej dwakroć i trzykroć do chóru, do pieni!
Pobici Tatarzy, Turkowie zgromieni
Złamaliście jarzmo, co na nas już kładli,
Mordercze Araby, Maurowie zajadli,
Złamaliście księżyc, ów znak Muzułmana,
Złamaliście rogi na głowie Osmana!

W całej tej odzie wieje prawdziwe natchnienie, głębokie uczucie patryotyczne. Wielkie, wzniosłe obrazy następują szybko po sobie, i grupują się w całość artystyczną. Czytając tych poetów można się wiele od nich nauczyć, mianowicie jedności wyrażenia i trafnego obrazowania. Nic się tam nie rozwleka, wszystko ma swoją miarę i służy głównej myśli założonego tematu.

W Przekładach poetów polsko-łacińskich, to tylko można Syrokomli zarzucić, że nie zawsze trzymał się wiernie swego oryginału. Dzieje się to wprawdzie zawsze na korzyść oryginału, bo Syrokomla warjując myśl cudzą, umie ją tak pięknie ustroić, tak gładko wypowiedzieć, iż często własnym oczom nie wierzymy, aby to miał być utwór z szesnastego wieku. Takie jednak zarzuty nie bardzo obią-

żają sumienie naszego tłumacza, bo cóż on temu winien, że lepiej pojął poetę, że go zeszedł w najutajeńszem jego uczuciu, i tak go nam przedstawił, jak się on w konwencjonalnej szacie łaciny nam przedstawić nie mógł. Słyszeliśmy przed laty Liszta wykonywającego cudze utwory. Kompozytorowie tych utworów zdziwieni byli bogactwem własnej swojej myśli, zdawało im się, że genialny wykonawca odsłonił dopiero cały blask nieocenionych należycie dotąd ich skarbów, że zwrócił ich uwagę na to, czego oni sami ocenić nie umieli, a co im mimowolnie z natchnionej duszy wypłynęło; a przecie żaden z nich nie pomyślał, aby te skarby były im podłożone przez większego od nich mistrza. Taki sam stosunek zachodzi między Syrokomlą a poetami polsko-łacińskiemi; on podnosi ich skarby, on pragnie, abyśmy się wraz z nim zachwycali, bo sam się nimi zachwyca, ale nigdy nie podsuwa im tego, czego oni sami nie mieli, a nawet częste co do formy wiersza trzyma się ich niewolniczo. Zresztą zarzuty te odnoszą się więcej do jego przekładów z angielskiego lub francuskiego, gdzie często tylko myśl samą podchwytuje; poetom polsko-łacińskim pozostał wierniejszym. Tyle o przekładach Syrokomli.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **O użytkach z torfu.** (Dokończenie).

Daleko jednakże ważniejszym od Kreozotu, jest Paraffin i o nim tu głównie mówić zamierzyliśmy. Jest on, podobnie jak i Kreozot, produktem suchej destylacji; paląc bowiem w retorcie ogrzewanej do czerwoności, jakiekolwiek ciało bitumiczne jak np. torf, węgiel kamienny lub t. p. otrzymujemy w odbieralni wiele bardzo produktów, a między niemi najważniejszy: Paraffin. Ciało to, jakkolwiek jast tłuste i nadzwyczaj palne, żadnych zgoła innych, wspólnych z tłustościami własności nie posiada, i dla tego to przez wynalazcę nazwanem zostało Paraffin (od parvum (mało) i affinis (zbliżony)). Zebrane w odbieralni wraz z innemi produktami destyllacyi, łatwo bardzo da się od nich oddzielić, jest bowiem i najcięższem i najmniej lotnem a nadto, przez wystawienie na wpływ niskiej temperatury, z łatwością stan stały przybiera. Paraffin oddzielony od obcych produktów i wyprasowany, przedstawia się w postaci zanieczyszczonej, brunatnej materyi, która dopiero przez traktowanie kwasem siarczanym, kilkakrotną destyllacyę i przemywanie w roztworze sody i czystej wodzie, przybiera kolor alabastrowo biały. Z tak oczyszczonego Paraffinu robią się świece! O ile z czynionych doświadczeń wnioskować można, są one lepsze daleko od stearynowych, a naturalnie, że i cena ich musi być bez porównania niższa. Rzeczą najbardziej w materji tej uderzającą jest że podobnie jak diament, składa się prawie wyłącznie z kwasu węglanego; w przystępie powietrza zapalona, nie pozostawia po sobie najmniejszego śladu, a gaz przy paleniu wywiązujący się, będący niczem innem jak węglowodorem (węglik wodorodny), nie tylko nie ustępuje pod względem natężenia światła, ani gazowi do oświetlenia, ani żadnym innym, do tego celu służącym materyałom, ale znacznie je we własności tej przewyższa.

Oto jest w krótkości wzmianka do jakiej wartości badania naukowe doprowadziły biedny torf, którego mamy wszędzie w naszym kraju podostatkiem, i jakie to z tego na przyszłość wyniknąć mogą dla ogółu korzyści. Rząd angielski, oceniając ważność wynalazku p. Reichenbach, pozakładał ogromne fabryki świec Paraffinowych w Irlandyi, która tym sposobem wiele bardzo zyskała, a biedny naród, kraj ten zamieszkujący, już nietylko na same kartofle liczyć może (wiadomo, że cała egzystencya Irlandczyków zasadza się na uprawie kartofli.) Szkocya zaczęła produkować jeszcze poprzednio węgiel torfowy sposobami ulepszonemi i także ogromne zyski z przedsiębierstwa tego ciągnie. Czy też w naszym kraju jedno albo drugie nie dałoby się zaprowadzić, a szczególniej też, czyby nie było z korzyścią założyć gdzie fabrykę świec Paraffinowych? Dla czego nie? powoli może do tego przyjdzie; mamy już kamfinę i kamfinowe lampy, spodziewamy się wkrótce oświetlenia miasta za pomocą gazu; gdzieś fabrykę świec zupełnie olbrotowe naśladujących, a nie droższych od stearynowych; dla czegożbyśmy więc i w krótkim nawet czasie nie mieli mieć świec Paraffinowych, a mniejszym kosztem otrzymalibyśmy światło gazowemu dorównywające?

Nie jeden przeczytawszy to, powie: »głupstwo, albo to kiedy do tego przyjdzie, żeby z moich torfiastych błot wyrabiali świece«? Na niejedną już rzecz, która dziś istnieje i powszechnie jest znaną, to samo powiedziano: czas najlepszym tu będzie pośrednikiem! (K. R.)

* **Z Poznańskiego, w Kwietniu 1856.** Nakładem J. K. Żupańskiego kończy się druk znów jednego tomu owego obszernego i uczonego dzieła Lelewela »*Polska, dzieje i rzeczy jej.*« Jest to już trzeci tom drukowany. Całe dzieło, jak wiadomo, składać się będzie z 7 tomów; druk rozpoczął się od IIgo z porządku tomu. Każdy tom stanowi osobną całość i osobno się sprzedaje.

Nakładem p. Żupańskiego drukuje się ważna historyczna praca młodego dziejopisa tutejszego, pana Kazimierza Jarochowskiego, wydawcy »*Teki Podoskiego,*« jeżeli się nie mylę, pod tytułem „*Historia Sasów w Polsce.*"

Z przyjemnością donoszę wam także o przygotowanem do druku nowem wydaniu dzieł Jana Kochanowskiego, z obszerną, oryginalnie skreśloną biografią poety i z uczonemi badaniami, tyczącemi się pierwszych wydań jego poezyi. Do ważnej tej pracy przystąpił z należytem przygotowaniem i z całą sumiennością uczonego, pan Przyborowski, młody, uczony profesor przy gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu. Biografię Jana Kochanowskiego, kreśloną dotąd podług Starowolskiego, nie zawsze krytykę wytrzymać mogącego, prostuje p. Przyborowski i uzupełnia, czerpiąc najwięcej wiadomości w tej mierze z łacińskich dzieł poety. Panu P. udało się odszukać kilka nieznanych dotąd wydań poezyi Kochanowskiego, a nawet trzy z jednego roku, co dowodzi, jak w swoim czasie musiał być czytany i lubiony; wydania te bardzo sumiennie i uczenie ze sobą porównywa, a nawet wykazuje edycją starszą od tej, którą dotąd za najpierwszą uważano. Nadto wielce zajmującą wziął na siebie pracę p. P., jako biegły filolog i dobrze w zygmuntowskich pisarzach obczytany, niezawodnie z najlepszym skutkiem dokona. Oto stara się wykryć i okazać, o ile Jan Kochanowski czerpał do swoich poezyi z autorów łacińskich i greckich, a o ile jest oryginalny. Ktoby posiadał jakową nieznaną albo mniej znaną wiadomość, odnoszącą się do życia i dzieł Kochanowskiego albo jego przodków i t. p., przysłuży się literaturze, jeżeli zechce wiadomość tę przesłać Panu Przyborowskiemu wprost, albo też na ręce księgarni J. K. Żupańskiego.

Ludwik Merzbach drukuje obszerny zbiór kazań mianych przy różnych okolicznościach i przez różnych kaznodziejów od r. 1750 do 1850. Wybór ten, ułożony staraniem uczonego prałata, ks. kanonika J. ma zawierać w sobie prawdziwy skarb rzeczy pięknych, mało albo wcale nieznanych.

Tygodnik „*Przyroda i Przemysł*" jedyne pismo polskie naukowe u nas (Przegląd Poznański wychodzi bowiem tak nieregularnie, że go za pismo peryodyczne trudno uważać), pomimo krótkiego swego istnienia, pozyskał już około 600 prenumeratorów; widać ztąd, jak pismo tego rodzaju było potrzebne. Dziwna rzecz jednakże, że kiedy w zobojętnionem Księstwie i kiedy w królestwie szybko się rozpowszechniło, tak że pewna księgarnia w Warszawie sama jedna 200 exemplarzy zapisała „*Przyrody i Przemysłu*", cała Galicja prenumeruje zaledwie 50 exp.

Wydawnictwo doznaje u nas od pewnego czasu nowych trudności; tak n. p. zabrano „*Rytmy Miaskowskiego*", i to nie dla jakowejś przedmowy albo objaśnień wydawcy, jakby się ktoś domyślać mógł, ale dla rytmów samych, dla „*Listu Marcina Lutra z piekła do swoich*", który gorliwy Miaskowski skomponował wtenczas, kiedy nikomu się jeszcze nie prześniwało, że będzie ktoś, który za kilka set lat powoływać przed sąd będzie za to, co niegdyś dobroduszny ziemianin w swej żarliwości religijnej napisał. Ciekawy jestem, jakby sobie postąpiono gdyby jaki historyk ogłosił na nowo drukiem niektóre listy albo broszury Marcina Lutra, wymierzone przeciw papieżowi i kościołowi

katolickiemu, czyby ich także sprzedawać nie pozwolono?— Pewien księgarz w Poznaniu miał zamiar wydać *Kazania sejmowe Skargi*, które stały się już bardzo rzadkiemi; ale po zabraniu Miaskowskiego obawia się, czyby mu i tych kazań po wydrukowaniu nie zabrano.

Nowiny lwowskie.

Dnia 12 b. m. odbyło się w kościele OO. Bernardynów żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. *Marcina Adama Cybulskiego*, który dnia 14 z. m. w Krakowie, miejscu mieszkania swego, dni życia zakończył.

Muzyką dyrygował kapelmistrz katedralny W. Piotrowski a w części pan Piątkowski, czynnem zaś było w niej całe towarzystwo muzyczne. Wykonano *requiem Wacława Wittassek*, potym *sextet* na dwa *soprany, alt*, dwa *tenory i bass V. F. Tutszka*, w końcu *salve Baschnego*. Wszystko, szczególnie pierwszy i trzeci numer, było wykonane z rzadką precyzją i dokładnością, jak tego w mieście naszem dawno już niesłyszano, i jak to się przy produkcjach bez prób i prawie że tak powiemy *ex abrupto* wykonanych rzadko zdarzać zwykło. Można też było piękności muzyki czysto-kościelnej, których w pierwszej szczególnie kompozycji jest niemało, z rozrzewnionem prawdziwie używać uczuciem. Partje solo wykonali Soprano: J. panny Wenseri Wygrzywalska; Alto: Jpani Grotker, tenor: Jpanowie Smaciarzyński i Fink, Bas W. Szumlański, którego głos silny i dźwięczny, szczególnie w tonach środkowych, przez wszystkie inne się przebijał. U Jp. Wygrzywalskiej poznaliśmy dobrą i pewną intonacją, oraz precyzją, niemniej głos bardzo przyjemny. Zważywszy wiek onej młodociany, pilność i naukę, od ojca wytrawnego muzyka, dawniej dyrektora muzyki w klasztorze pp. Benedyktynek Satniąteckich, ciągle pobieraną, rokujemy onej właśnie w zawodzie spiewu świetną przyszłość. Między spiewakami basu słyszeliśmy także głos H. Karola R. którego z dawniejszych czasów znamy jako dyletanta w spiewie, szczególnie celującego. Żałować należy iż on żadnego solo nie wykonał. Drugi dyletant, Wny Adam Wojciech Cybulski, syn zmarłego, na cześć którego, jako dyrektora oddziału spiewnego towarzystwa muzycznego, rzeczone towarzystwo requiem wykonało, był z familią swoją, w kościele na dole i w wykonaniu nie działał. Widzieliśmy jednak w jego twarzy ukontentowanie, połączone z rozrzewnieniem, do którego go wykonanie powyższych muzyk kościelnych przyprowadziło.

* **Mody**. Moda kapeluszów z fartuszkami, spadającemi aż na kark, utrzymuje się dotąd. Wszędzie widać same takie kapelusze, krojem podobne z resztą do kapotek. Często bardzo dodają teraz do kapeluszów białe i czarne koronki. Ładnie wydają sie kapelusze z białej tafty, obszywane kolejno, to czarnemi to białemi koronkami lub blondynami, co robi bardzo ładny efekt. Dodaje się do tego albo różowe bukiety, albo gałązka czerwonej akacyi.

Ta moda zda się utrzyma się w lecie, bo widziano już podobne kapelusze słomiane. Wiele także pokazuje się kapeluszów krepowych, z których niektóre przerabiają słomkowemi prążkami, co się bardzo dobrze wydaje.

Krój sukni nie zmienia się także. Staniki do wychodu wyższe, do pokoju na wieczor długie. Materje wszystkie są w wielkie desenie. Najpiękniejsze są z mory w duże desenie, których pojawia się mnóstwo. Utrzymują się także w modzie tafty różnej barwy i deseniów, których wybór nadzwyczaj bogaty. Najpiękniejsze są tafty wyciskane, których desenie wyglądają, jakby hafty jakie, albo koronkowe wyrabiania. Najulubieńsze barwy są: popielata, lilia i zielona. Ubraniem do tych sukien najwięcej używanem, są zawsze szerokie falbany z tej samej materyi, o różnych odcieniach tej samej barwy. Tak n. p. ślicznie się wydaje suknia zielona, której garnirowania są różnych odcieni zielonych. Najciemniejsza odcień jest w dole, najjaśniejsza w górze. Do najmodniejszych artykułów należą krepa i aksamit, używane bardzo do wszelkiego rodzaju garnirowań. Co do mantylek, utrzymuje się dotąd ciemna barwa, z przystrojeniem haftów, korónek i frendzli, w najrozmaitszych wzorach. Mówią wiele o letnich mantylkach z haftowanego muszlinu, ale nie pokazują się jeszcze.

Przyjechali od dnia 15. do 16. Kwietnia do Lwowa.

PP. Władysław Brenner z Grodowic. Bronisław Strzelecki z Błozowa. Leon Załęski z Kołbajowic. Jan Krzyżanowski z Średniej wsi. Bolesław Zaręba z Wodnik. Teofil Gumnowski z Złoczowa. Jan Wiśniewski z Kurowic. Franc. Zubrzycki z Rudnik. Michał Torosiewicz z Połtwi. Jan Torosiewicz z Pełtwi. Stanisł. Januszewski z Wierzchówki. Józ. Mikołajewicz z Wązowy. Karol Nikorowicz z Przemyśla. Wiktor Złocki z Myszkowiec. Jan Biliński z Huty. Franc. hr. Komorowski z Łuczyc. Maurycy Torosiewicz z Ostrowa. Mikołaj Romaszkan z Horodenki. Zenon Cywiński z Telaczego. Jan Czerwiński z Remizowiec. Władysław Witosławski z Tuligłów. Dominik Netrebski z Wykót. Edward Bogdański z Zabłotowa.

PP. Erazm Lencewicz z Zadworza. Antoni Stasicki z Sądowej Wiszni. Antoni Antoniewicz z Przemyśla. Kazimierz hr. Dzieduszycki z Znajmu. Leopold Obertyński z Stronibab. Adam Pajgert z Sidorowa. Alexander Krasucki z Mostów małych. Antoni Batowski z Kulikowa. Krzysztof Strzelecki z Płuhowa. Alex. baron Ochocki z Pererowa. Rudolf Karolewski z Rohatyna. Karol Prytyka z Tucznego. Kazimirz Skrzełużki z Nostrowa.

Wyjechali od dnia 15 do 16. Kwietnia ze Lwowa.

PP. Lud. hr. Zabielski. Jan Hoszowski do Stryja. Wojciech Jarzymowski do Wolicy. Stanisław Gostyński do Hnizdyczowa. Jan Zworski do Złoczowa. Ignacy hr. Komarnicki do Stanisławowa. Antoni Biliński do Huty. Hr. Mniszek do Dembicy. Rudolf Niesiołowski do Przemyśla. Wiktor hr. Baworowski do Dembicy. Jul. Grocholski do Podhorzec. Alex. hr. Fredro do Rudek. Tytus Trzciński do Polanki. Adam Iwanicki do Bartatowa.

PP. Jędrzej Mierzyjewski do Bełza. Henryk hr. Komorowski do Pawłowa. Jan Krzyżanowski do Kamionki. Stanisław Januszewski do Ubinia. Maurycy Torosiewicz do Ostrowa. Michał Torosiewicz do Połtwi. Krzysztof Strzelecki do Janowa. Sebastian Glixeli do Dembicy. Henryk Janko do Hoszan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	102 1/8	Pożyczka 5% . . .	85 1/2
Hamburg za 100 tal. branco	74 7/8	Akcye banku	1134
Londyn za 1 funt szterl.	10.3	Kolej północna . . .	3077 1/2
Medyolan za 300 lirów	102 1/8	Obl. ind.	79
Paryż za 300 franków	119 1/2	Nowa pożyczka z loterya	108 7/8
Agio duk. ces. . . .	5 1/2	Pożyczka narodowa .	86

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr.
Dukat holenderski	4	43	4	47
Dukat cesarski	4	46	4	49
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	8	1	9
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	83	40	84	20
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	78	—	78	30
5 proc. pożyczka narodowa	86	—	87	—
Śrebro	103	—	104	—

Do dzisiejszego numeru dołączony jest **Dodatek**.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierżawca W. MANIECKI.